

Chwilami jestem Shirley

W niedzielę 200., „zielony” spektakl „Shirley Valentine” w Teatrze Powszechnym. „Zielony”, tzn. że Krystyna Janda musi być przygotowana na liczne niespodzianki podczas występu. Zgodnie z tradycją „zielone” przedstawienia są wariacjami na temat spektaklu. Aktorzy są zmuszani do improwizacji, a światło gaśnie w najmniej odpowiednim momencie. Co wydarzy się w niedzielę na scenie Teatru Powszechnego, na razie nikt nie wie. Aktorze przeszkadzać będą akustyk, elektryk, pracownicy obsługi. Możliwe, że ona sama przygotowuje jakiś żart, by pomieszać szyki innym. Największą zabawę będą mieli ci, którzy już widzieli monodram Russella na deskach Powszechnego.

— W rudawej peruce, czerwonych ogromnych klipsach i różowych butach krząta się Pani między lodówką a zlewozmywakiem. W niedzielę Shirley Valentine ukazuje się już 200. raz na scenie. Jak to się stało, że przyjechała Pani rolę gospodyni domowej, która całe dnie spędza w kuchni, przygotowuje mężowi jajka sadzone, popija wino i „rozmawia ze ścianą”?
— Zaczęło się od autora „Shirley Valentine” Willy’ego Russella. Dziesięć lat temu w teatrze Ateneum grałam w jego „Edukacji Rity”. Uwielbiałam Ritę. Po przeczytaniu „Shirley...” zauważyłam, że to Rita po latach — tak samo ambitna i naiwna zarazem, tak samo energiczna i bezbronna. Obie historie Russella są wzruszające i prawdziwe. W obu pełno cudownych szczegółów, dotyczących życia małżeńskiego, niuansów psychologicznych. Te drobniaki prowadzą do ogólniejszych prawd. Przede wszystkim są nieodparcie śmieszne.

— Podobno Russell był przez kilkanaście lat fryzjerem damskim.
— W jakimś wywiadzie przyznał, że wykorzystuje w sztukach anegdotki zasłyszane od klientek. Przechowywał je. Żaden mężczyzna nie mógłby wymyślić spoprawienia, którymi dzieli się Shirley. Shirley rozmawia ze ścianą. U Russella skojazzenie było proste. Fryzjer damski jest jak ściana — wysłuchuje niezwykłych historii, najbar-



Fot. Piotr Wójcik

dziej nawet intymnych, bo nie ma innego wyjścia.

— Czy dużo Pani zmieniła w postaci Shirley przez te cztery lata, które minęły od premiery w Teatrze Powszechnym?
— Przedstawienie właściwie cały czas się zmienia razem ze mną, razem z czasami i z widownią. Myslę, że jest żywe, bo jest to dialog z publicznością, a i ja, i publiczność

zmieniłyśmy się przez te trzy lata. Zostały słowa, historia, konstrukcja i wymowa. Poza tym to przedstawienie miało w założeniu pewien procent improwizacji.

— „Shirley Valentine” podbiła polską publiczność.

— Miałam tekst już dwa lata przed premierą w Powszechnym, ale żaden z dyrektorów nie chciał

go wystawić. Tłumaczyli, że jest banalny, że nie powinniśmy brać tej roli. Szczerze mówiąc, byli nim trochę zażenowani.

— Sztuka była entuzjastycznie przyjęta na całym świecie.

— I ciekawe, że w każdym kraju nieco inaczej ją interpretowano. Np. w Chile był to dramat, smutna opowieść o losie kobiety, skierowana przeciwko mężczyźnie.

— Shirley w Pani wykonaniu kocha męża, nawet jeśli ten nie bywa w domu i niewiele go obchodzi żona.

— Trochę zmieniliśmy z reżyserem zakończenie sztuki Russella. Shirley nie zrezygnowała. Czeką na męża z radością. Wierzy, że spróbuje na nowo. Właśnie ten optymizm jest jedną z przyczyn powodzenia spektaklu w Polsce.

— Grała Pani Shirley w wielu miastach. Jak reagują widownie? Ocierają łzy? Śmieją się?

— Pięć dni temu w Kaliszu po przedstawieniu „Kobiety zawiedzionej” podeszła do mnie uśmiechnięta pani i zapytała: „Czy widzi pani, jak wyglądam?”. Wyglądała fantastycznie. Włosy krótko obcięte, umalowana, odważnie ubrana.

Na moje aprobujące spojrzenie odpowiedziała: „To dzięki pani. Była tu pani pół roku temu z „Shirley”. Opowiedziała pani o mnie. Zmieniła całe moje życie. Jestem teraz szczęśliwa. Dziękuję”. Odeszła zadowolona, zostawiając mnie w zdumieniu. Szkoda, bo chciałam jej zrobić zdjęcie.

— Czy widzowie często przychodzą do Pani po spektaklu?

— Prawie po każdym, szczególnie w tzw. trasie. Kobiety z oczami zapuchniętymi od płaczu zwracają mi się z najintymniejszych kłopotów, bo skoro sama o nich mówię... A ja nie wiem, co im powiedzieć...

— Przedstawienie rzeczywiście wytwarza bliskość między sceną a widownią.

— Powiem nieskromnie — zrobiłoby się coś, co rzadko udaje się w teatrze. Widzowie utożsamiają się z bohaterką. Wierzą w to, co słyszą. Niektórzy twierdzą, że spektakl działa jak dobra dawka psychoterapii. Wiem, że psychologowie wysyłają na ten spektakl swoje grupy terapeutyczne.

— Powiedziała Pani kiedyś: „Chwilami jestem Shirley”.

— Dziś mogę wejść na scenę prosto z ulicy i od razu jestem w stanie grać tę postać — bez makijażu, bez rekwizytów, bez zastanowienia. Żeby stać się Shirley, nie potrzebne mi już nic. Uwielbiam ją grać, a raczej spotykać się jako Shirley z publicznością. Ludziom czasem myślę się z nią. Gdy w Poznaniu pewnej kobiecie, która — jak się okazało — była pierwszy raz w życiu w teatrze, wytłumaczono, że „ta na scenie to nie Shirley Valentine tylko Krystyna Janda”, była zdegustowana: „To normalne, żeby opowiadać o własnym życiu, ale żeby zmieniać nazwisko!”.

— Na scenie Teatru Powszechnego możemy zobaczyć Panią w innym monodramie — „Kobiecie zawiedzionej” Simone de Beauvoir w reżyserii Magdy Umer. Czy bohaterka tej sztuki — Monika — podobna jest do Shirley?

— Mentalnie i kulturowo to dwie różne osoby. Monika jest wykształcona, bogata. Ale wyposażałam ją w poczucie humoru Shirley i jej autoironię. Nie mogłam zagrać kobiety, która nie wierzy w powodzenie, bo nikt by nie chciał tej historii zobaczyć.

I chociaż tekst „Shirley...” jest szalenie efektowny, a „Kobiece...” taki szary, efekt obu sztuk jest podobny: intymność.

— Wiele krytyków twierdzi, że na monodram, jako formę teatralną, nie ma dziś zapotrzebowania ze strony publiczności. Pani udowadnia, że to nieprawda.

— Monodram to trudna forma dla aktora. Dla mnie ogromny sprawdzian: Czy jeszcze umiem przyciągnąć widzów? Czy kupią bilety?

— W niedzielę jubileuszowe przedstawienie — wariacje na temat „Shirley Valentine”. Czy można zdradzić już jakieś szczegóły?

— Ten jubileusz urządzono jako niespodziankę dla mnie. Sama nie wiem, co się wydarzy.

Rozmawiała
Dorota WYŻYŃSKA

O sukcesie „Shirley Valentine” mówią:

Krzysztof Rudziński
— dyrektor Teatru Powszechnego

Na sukces każdego przedstawienia składa się kilka elementów. Po pierwsze — tekst, po drugie — aktorzy, po trzecie — „bliskość psychiczna” z widzem. W przypadku „Shirley Valentine” wszystkie te trzy elementy zagrały bez dysonansów.

Maciej Wojtyzsko i Krystyna Janda osiągnęli to, co rzadko zdarza się w teatrze — widzowie identyfikują się z postacią. Znam kobiety, które po tym spektaklu przyznają się bez skrępowania: „Wiesz, ja też rozmawiam ze ścianą”.

Taki tekst trzeba podać bardzo prawdziwie. A Krystyna gra tak, jakby właśnie znalazła się w swojej kuchni.

Gościliśmy w 40 miastach w Polsce oraz w Londynie, Toronto, Chicago i Nowym Jorku. W grudniu wystąpimy w Australii. A w niedzielę 200. spektakl. Jak długo jeszcze będziemy go grać? — Do upadłego. Ile wytrzyma Krystyna.

Bo widzów nie zabraknie. Do tej pory przedstawienie widziało raptem ok. 10 tys. osób... A ten

spektakl, w porównaniu z innymi, gramy rzadko, bo Krystynę chcę pokazać również w „Kobiecie zawiedzionej”, „Kotce na rozpalonym, blaszanym dachu”, „Mężu i żonie”, „Na szkle malowane”.

Jerzy Koenig — krytyk

Przede wszystkim zastanowiłbym się, czy to sukces sztuki Russella, czy raczej tego właśnie przedstawienia z Teatru Powszechnego. A ponieważ sztuk takich jak „Shirley...” w Anglii powstaje sporo, mogę się założyć, że popularność spektaklu wynika właśnie z interpretacji tekstu.

Wcale się zresztą nie dziwię, bo do teatru przychodzi się najpierw „na aktorów”, później dopiero na konkretne przedstawienie, a rzadko ze względu na reżysera — dla przeciętnego widza jego nazwisko nie ma zresztą znaczenia.

Większość widzów „Shirley Valentine” przychodzi po prostu na Jandę. Bo Shirley Jandy przez swą bezpośredniość i trywialność jest kobietą niezwykle czarującą.

W styczniu zobaczymy w Teatrze Telewizji spektakl, który Janda wyreżyserowała. Ciekawy

jestem, jak przyjmą go widzowie.

Maciej Wojtyzsko
— reżyser „Shirley Valentine”

„Shirley Valentine” Willy’ego Russella trafiła w problemy naszych polskich kobiet. Kobiet, które czekają z obiadem na męża, czują się samotne, zabiegane, zmęczone.

Przedstawienie nie udało się bez Krystyny Jandy. Jej osobowość wnosi coś takiego, że ja sam chwilami wierzę, że cała ta historia wydarzyła się naprawdę. Zmienił się zakończenie, żeby rozpromienić sztukę Russella. W takim przedstawieniu musi pozostać odrobina nadziei.

(notowali: DoW, konop)

200. przedstawienie „Shirley Valentine” sponsorują m.in.: restauracja „Belvedere” (organizuje bankiet po spektaklu), firma Scanomat (ustawia automaty z gorącymi napojami), Zakład Wydawnictw Statystycznych (wydrukuje zaproszenia), Polish Holding (przygotował reklamę świetlną na hotelu Forum), a także hotel Marriott i Chio Lilly Snack-Foods.